

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

LITERACKI KOŚCIÓŁ WOJUJĄCY

NIEDYSKRECJE:

Mowa P. ministra Zaleskiego	34
„Albo Litwa wystąpi z Ligi Narodów, albo p. Waldemaras opuści rząd litewski“	”
Pomyślny rozwój stosunków sąsiedz- kich Polski z Niemcami i Sowie- tami	”
Od Termidora do Bonapartyzmu	”
„Niemasz nic nowego pod słońcem“	35
W poszukiwaniu dróg do utrwalenia pokoju	”
Pokój wieczysty i Nicaragua	”
Hurtownicy głosów wyborczych	”
Noworoczna mowa Hindenburga	”
POTRZEBY KOLONJI POLSKIEJ W CHINACH I NA DALEKIM WSCHO- DZIE — Inż. <i>Kaz. Grochowski</i>	36

ZAGADNIENIE ORGANIZACJI WŁA-
DZY WYKONAWCZEJ — *Krystyn**Ostrowski* 38

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI.

Literacki kościół wojujący — *Juljusz**Kaden-Bandrowski* 41Miłość tworząca — *Jan Szczawiej* 43Płody — *Stanisław Ciesielczuk* ”Rozmowa z psem — *Miguel de Unamuno* ”Hołd złożony Proust'owi — *M. Czapska* 44Stanisław Piolun-Noyszewski — *H. D.* ”Na marginesie — *xy* 46

Echa Literackie ”

Odpowiedzi Głosu Prawdy Lite-

rackiego 47

Nowości wydawnicze 48

NIEDYSKRECJE.

MOWA P. MINISTRA ZALESKIEGO wygłoszona na bankiecie Towarzystwa Badania Zagadnień Międzynarodowych dała wyraz temu, co myśli każdy sumienny i nieuprzedzony obserwator zagranicznej polityki Polski w roku ubiegłym. Nie było to urzędowe stwierdzenie faktów, zabarwione okolicznościowym optymizmem, lecz analityczne, rzeczowe *compte rendu*, zwięzłe zarówno w treści, jak rozumowaniu, oparte na materiale konkretnym, niedającym się z żadnego punktu widzenia zakwestjonować.

Rok 1927 można nazwać rokiem ofensywy pokojowej Polski na wszystkich odcinkach naszej polityki zagranicznej. P. Minister Zaleski trafnie ujął i dobitnie podkreślił to co stało się już truizmem w demokracjach nowożytnych, a mianowicie nierozzerwalny związek pomiędzy sytuacją wewnętrzną a polityką zagraniczną. Te dwie dziedziny łączą się logicznie ze sobą i, jeżeli Polska na terenie międzynarodowym stała się niejako forpocztą pacyfikacji Europy, jeżeli trudno sobie dziś wyobrazić twórczą pracę na rzecz pokoju bez aktywnego udziału w niej Polski, mamy to w znacznym stopniu do zawdzięczenia gruntownej naprawie stosunków wewnętrznych w kraju naszym, a zwłaszcza wyjście z chronicznego stanu bezsilności władzy i kryzysów gabinetowych, co nastąpiło po przewrocie majowym. Tylko silny rząd, cieszący się zaufaniem społeczeństwa świadomy swych celów i niezależny od przypadkowych koniunktur politycznych, może wzmocnić prestiż państw, na terenie międzynarodowym i kierować z powodzeniem jego polityką zagraniczną.

Rok 1927 był najbardziej poglądowym dowodem, że dążeniem rządu marszałka Piłsudskiego jest rozbudowa pokoju z naszymi sąsiadami. I nie tylko to. Inicjatywa naszego rządu na Zgromadzeniu Ligi Narodów, wykluczająca wojnę, jako *ultima ratio* w rozstrzygnięciu zatargów między narodami, a przyjęta z najwyższym uznaniem przez opinię całego cywilizowanego świata, postawiła Polskę w pierwszym szeregu państw, walczących o pokój powszechny

„ALBO LITWA WYSTĄPI Z LIGI NARODÓW, ALBO P. WALDEMARAS OPUŚCI RZĄD LITEWSKI” — *Aut — aut — Tertium non datur*. W ten sposób sformułował wybitny publicysta francuski p. Gauvin, redaktor naczelny „Journal des Debats” swój pogląd na nowe łamańce dyplomatyczne p. Waldemarasa, który bojkotuje Wileńszczyznę, chcąc ją wyłączyć z obrotu handlowego i pocztowego Litwy z Polską, który gotów jest przyjąć posła polskiego ale... w Wilnie, który drwi sobie z decyzji Ligi Narodów i trwa w swym obłądnym uporze przeciwstawienia się całemu światu, przekroczył granice, umożliwiające jakiegokolwiek porozumienia z nim. Rokowania dyplomatyczne z obecnym premierem litewskim, przy dzisiejszym stanie jego mentalności, przeniosłyby nas do dziedziny ponurej groteski. I dlatego pozostaje tylko czekać, aż zupełnie oprzytomnieje, — w ten czy inny sposób, samodzielnie, czy też przywołany do porządku przez mocarstwa, albo własne społeczeństwo. Gdyby ta ewentualność miała okazać się niemożliwą, wówczas jedynym wyjściem z sytuacji byłaby alternatywa, wskazana przez publicystę francuskiego, ina-

czej bowiem niepodobna sobie wyobrazić, by sprawa unormowania pokojowych stosunków polsko-litewskich mogła się posunąć choćby o krok naprzód.

POMYŚLNY ROZWÓJ STOSUNKÓW SASIEDZKICH POLSKI Z NIEMCAMI I SOWIETAMI był jednym z aktywów naszej polityki zagranicznej w roku ubiegłym, na który p. min. Zaleski zwracał szczególną uwagę. P. Minister z uznaniem podkreślił stanowisko zajęte zarówno przez delegację Niemiec, jak Z. S. S. R. w Genewie, w sprawie konfliktu polsko-litewskiego. Wiele pozostało jeszcze trudności do przewyciężenia na drodze do zupełnej normalizacji stosunków polsko-niemieckich — główną przeszkodą w tym względzie stanowi przeważyła „ducha Poczdamu” nad „duchem Wejmaru” w Niemczech — lecz bez przesadnego optymizmu należy stwierdzić, że Niemcy coraz bardziej uświadamiają sobie konieczność normalnego współżycia i współpracy z Polską, oraz wyrazić nadzieję, że w tak wolnym tempie poruszające się rokowania handlowe doprowadzone będą do szczęśliwego wyniku. W każdym bądź razie podkreślić musimy, że wszystko, co pertraktacje te dotychczas tamowało, pochodziło nie z naszej strony, lecz od naszego kontrahenta. Podobnie ma się rzecz i z projektowanym polsko-sowieckim paktem o nieagresji, który utknął na martwym punkcie wskutek opornego stanowiska Sowietów przeciw wprowadzeniu do paktu klauzuli arbitrażowej. Bez tej klauzuli, przewidującej postępowanie rozjemcze na wypadek sporu, trudno sobie wyobrazić w ogóle możliwość paktów nieagresyjnych Z. S. S. R. z innymi państwami. Argumenty sowieckie o braku zaufania do ewentualnego arbitra nie wytrzymują żadnej krytyki, wykluczałyby one bowiem wszelką współpracę Z. S. S. R. na terenie międzynarodowym. I dlatego pierwszym warunkiem postępu w tej dziedzinie jest spełnienie życzenia, wyrażonego przez p. ministra, który oświadczył, iż „rząd polski rad byłby niezmiernie, gdyby rząd sowiecki zrewidował swoje dotychczasowe stanowisko w sprawie paktu o nieagresji.

OD TERMIDORU DO BONAPARTYZMU — tą drogą kroczy obecnie rewolucja rosyjska. Nie po raz pierwszy ludzkość przekonywuje się, że historia się powtarza. Jakobini prześladowali, gilotynowali i więzili tych, którzy odważyli się im przeciwstawić, a byli to w większej części prawdziwi rewolucjoniści i republikanie. Gdy jednak wszystkie rewolucyjne partje zostały postawione poza nawias prawa, rozpoczęła się także zacięta walka pomiędzy poszczególnymi grupami partji jakobinów, która utorowała drogę do władzy Bonapartemu. Są to prawdy tak stare i tak znane, iż nie byłoby uzasadnione powtarzanie ich, gdyby nie to, że Rosja Sowiecka temi samymi kroczymi drogami. Już wprowadzenie „Nepu” i uprawianie stalinowskiej polityki zostało określone przez Trockiego, jako „Termidor”. Ten okres obecnie znajduje się u szczytu rozwoju, ostatnie bowiem wiadomości głoszą, że Politbiuro przystąpiło do wysyłania wybitnych opozycjonistów na północ Rosji, na Sybir i do Azji Środkowej. Trudności ekonomiczne, paradoksalność wspólnego istnienia archaicznego kapitalizmu i socjalizmu eksperymentalnego wewnątrz, oraz rewolucyjnego państwa robotniczego w gronie ultra-kapitalistycznych i imperjalistycznych mocarstw — nazewnątrz

całowita prawie izolacja grupy rządzącej od szerszych mas chłopstwa, proletariatu, a nawet od znacznego odłamu komunizmu rosyjskiego i zagranicznego,—wszystko to najdobitniej stwierdza, że zbliża się fala bonapartyzmu sowieckiego.

* * *

NIEMASZ NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM, mawiał Ben Akiba. Porównyując bieg wypadków w Z. S. S. R. z wielką rewolucją francuską, przy uwzględnieniu oczywiście różnic, wypływających z rozwoju kulturalnego i ekonomicznego, składu narodowościowego, a nawet i sytuacji geograficznej, nie mówiąc już o „duchu narodu“, — dojść musimy do wniosku, iż po Termidorze sowieckim nastąpi sowiecki 18 Brumaire'a. Takie też są przewidywania gruzińskiego socjalisty, Ceretellego, który w 1917 roku był ministrem rządu Kiereńskiego, od roku zaś 1918 siły swe i nadszarpnięte na zesłaniu syberyjskim zdrowie poświęcił odbudowie swej kaukaskiej ojczyzny. W wywiadzie dziennikarskim Ceretelli analizuje obecny stan rzeczy w Rosji i w konkluzji dochodzi do wniosku, że i sowiecki Termidor przekształci się w bonapartyzm. Gdy jednak bonapartyzm francuski wyrósł z walki orężnej na frontach zewnętrznych, a Napoleon—general Buonaparte—uzurpował władzę, jako przywódca zwycięskiej armii rewolucyjnej, — w Rosji powstanie nowy prąd niewątpliwie na najważniejszym froncie rewolucji—na froncie ekonomicznym. Kto wie, w jakim „Sownarchozie“ lub „Wniesztorgu“ przygotowuje się do objęcia władzy przyszedł rosyjski Napoleon.

* * *

W POSZUKIWANIU DRÓG DO UTRWALENIA POKOJU prześcigają się wzajemnie różne kraje. Najróżnorodniejsze koncepcje brane są pod uwagę. Gdy zeszłoroczna polska propozycja pokojowa w Genewie przewidywała początkowo postawienie poza nawias prawa wszelkiej wojny, co później okrojono tylko do pojęcia „wojny agresywnej“, trzy nowe projekty trwałej pacyfikacji wypłynęły obecnie na widownię. Amerykanie z paktu przyjaźni francusko-amerykańskiego chcieliby utworzyć podłoże do objęcia tymże układem jaknajdalej idących ilości państw. Mglista propozycja Stanów Zjednoczonych doprowadziły mogła w razie jej urzeczywistnienia do powstania nowego Związku Narodów, utworzonego poza Ligą. Szwedzki projekt arbitrażu międzynarodowego, złożony w ostatnich dniach w sekretarjacie Ligi Narodów, wychodzi ze słusznego założenia, iż rękomią pokoju jest zapewnienie bezpieczeństwa. W tym celu winny być oddawane pod obrady bezstronnego sądu rozjemczego wszelkie spory polityczne pomiędzy państwami; sprawy zaś sporne o podłożu prawnym rozpatrywane będą nadal przez Trybunał Haski. Gdyby rozjemstwo międzynarodowe okazało się bezskutecznym, wówczas dopiero spór winien być rozstrzygnięty przez Ligę Narodów. Istnieje jeszcze jeden projekt utrwalenia pokoju. Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych opracowuje swój plan, który w krótkim czasie złożyć ma w Genewie. Zasady projektu angielskiego trzymane są narazie w tajemnicy.

* * *

GDYBY ZMARŁY PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH, WILSON mógł wrócić obecnie do swego kraju—nie poznałby go. Gałązka oliwna, którą pragnął ten niepoprawny marzyciel i.. pacyfista rozprostować nad całym światem najwidoczniej zwiędła przedwcześnie i to właśnie w jego ojczyźnie przedewszystkiem. Wszystkie konferencje rozbrojeniowe rozbiły się dotychczas o... Stany Zjedno-

czne. Coraz to nowe olbrzymy morskie, łodzie podwodne, pływające wyspy dla samolotów i.. defilady, defilady. Rezultat dalszy tego wojowniczego nastroju, który wzmacnia się coraz bardziej w kraju, skąd wychodzą raz po raz enuncjacje i projekty paktów wiecznego pokoju—to jeden ze złośliwych paradoksów życia współczesnego. A poza-tem? Aeroplany amerykańskie rzucają bomby na Nicaraguę, nie trafiając bynajmniej w powstańców, ukrywających się w górach, lecz w wioski i miasteczka, kobiety, starców i dzieci. Genewa swoją drogą, pakt o pokoju — również, ale... nafta i kauczuk są ważniejsze...

* * *

HURTOWNIKAMI GŁOSÓW WYBORCZYCH nazywa się we Francji tych panów, którzy przed wyborami, porzucając wygodne życie „sekretarzy“, „agentów giełdowych“, czy poprostu „niebieskich ptaków“, rozwijają niezwykle gorączkową działalność w związku z zbliżającymi się wyborami. Powtarza się to co parę lat, a więc i obecnie, wobec niedalekiego terminu nowych wyborów do obu izb francuskich—w kuluarach parlamentu, w bufecie, a szczególnie u słynnego Fayota, restauracji „parlamentarnej“ zaroiło się od owych „hurtowników“. Każdy z nich ma do rozporządzenia, niejako „na składzie“ parę mandacików w jakichś okręgach prowincjonalnych, z którymi przyszłych posłów i senatorów łączy jedynie... gorąca chęć wejścia do parlamentów, no i.. gotówka. Jednym z najpoważniejszych „hurtowników“ jest pan Cahen, który „rozporządza“ — tak twierdzą pisma—wcale pokaźną ilością „wolnych“ foteli, bo aż 50-ma. Jest to figura bardzo ceniona w zainteresowanych sferach, rozrywana niemal przez chętnych nabywców godności poselskiej. Jest to ten sam agent, który w swoim czasie „sprzedał“ za grube pieniądze mandat Rotszyldowi, w Górnej Savoyi, mimo, iż poczciwi górale prócz pieniędzy swego elekta nigdy go na oczy nie oglądali. Polska jest krajem biednym, my mamy narazie tylko detalistów, którzy robią co mogą „aby żyć“.

* * *

NOWOROCZNA MOWA HINDENBURGA, zawierająca wcale energiczne domaganie się najszybszej ewakuacji lewego brzegu Renu, została przyjęta przez prasę niemiecką nie tylko, jako enuncjacja Prezydenta, ale i jako.. wstęp do kampanji wyborczej, która w kwietniu, maju lub czerwcu rozegra się i w Niemczech. Termin jest tylko dlatego nieokreślony, że nieokreślona jest sytuacja gabinetu. Zależnie od tego, kiedy padnie obecny rząd—rozpisane zostaną nowe wybory do Reichstagu. Stresemann, jedyny być może z pośród wszystkich niemieckich polityków, łączący politykę Niemiec z polityką ogólnoeuropejską, zdaje sobie w którym bez możliwości porozumienia sprawę z tego, iż obecny skład niemieckiego parlamentu, kłócąc się wybujałe ambicje nacjonalistyczne z krańcowością socjaldemokratów, bynajmniej nie sprzyja realizacji pokojowych pogawędek z Briandem. Ale nowe wybory, do których najwidoczniej dąży Stresemann, mogłyby być klęską dla nacjonalistów... i właśnie dlatego Hindenburg rzuca w szowinistyczne społeczeństwo niemieckie najpopularniejsze hasło: wyzwolenia z jarzma okupacji. Ale czy wynik wyborów nie będzie dla niego równie oplakany, jak w swoim czasie, dla Milleranda, który po zwycięstwie lewicy musiał, jak niepyszny opuścić Wersal. Millerand zajął się pozornie adwokaturą, ale do czego zabierze się zwycięzca z pod Tannenbergu?..

Inż. KAZIMIERZ GROCHOWSKI.

POTRZEBY kolonji polskiej w Chinach i na Dalekim Wschodzie

Daleki Wschód Azji, czy to chiński, czy to rosyjski, czy też holenderski, będzie jeszcze przez wiele dziesiątków lat służył jako teren handlowej i przemysłowej ekspansji narodów energicznych i przedsiębiorczych. Polacy w niczem nie są gorszymi lub mniej uzdolnionymi od Anglików, Niemców i innych narodów, które doszły lub też obecnie dochodzą w tych krajach do wielkiego znaczenia i przez umiejętne zastosowanie swoich zdolności handlowych lub kulturalnych, przynoszą korzyść krajom rodzinnym. Żeby jednak Polacy mogli na Dalekim Wschodzie zająć odpowiednie stanowiska, trzeba koniecznie wypełnić cały szereg postulatów, które są podstawą naszej tutaj egzystencji, i przeszłości.

I. HANDEL.

Najważniejszą gałęzią polskiej ekspansji na Dalekim Wschodzie, jest i będzie handel importowo-eksportowy. Bez rozwoju polskiego handlu, czeka kolonję polską na Dalekim Wschodzie zanik. Na nic się nie przydadzą nasze szkoły, które nie będą miały kogo wychowywać i kościoły, zbudowane pracą i kosztem Polaków, które przejdą w ręce innych katolickich narodowości. Nasze placówki urzędowe staną się martwymi punktami dla wizowania paszportów nielicznych przejezdnych, a cała dotychczasowa praca paru ostatnich pokoleń naszych wychodźców, pójdzie na marne.

W poprzednich artykułach o handlu polskim w Chinach, Mongolji, Indjach i t. d. drukowanych w Charbińskim Tygodniku Polskim oraz w „Głosie Prawdy”, wyliczyłem najważniejsze możliwości, jakie nas tutaj czekają, oraz podałem najgłówniejsze wskazówki, które należy zastosować i wypełnić. Zaraz po zawarciu traktatu polsko-chińskiego, winny być utworzone konsulaty handlowe w Shanghai, Charbinie, a następnie stopniowo w Tientsinie, Mukdenie, Urdze, Kantonie (Hong-Kong), Hankow i jeszcze kilku innych ważniejszych miastach.

O pożytku, jaki będziemy mieli z urządzenia wystaw polskich towarów w najważniejszych centrach handlowych Chin, również wspominałem. Składy tych towarów polskich, które mają szanse zbytu na Dalekim Wschodzie, powinny być urządzone stale przez polskie związki eksportowe, lub też zrzeczenia naszych fabrykantów. Towary, które będą wywożone z portów polskich na Daleki Wschód, powinny otrzymywać ulgi podatkowe i taryfowe podczas przewozu z centrów fabrycznych do Gdyni, Gdańska lub Tczewa.

Należy zastanowić się, czy nie dałoby się w Polsce wprowadzić systemu premiowego dla naszych fabrykantów, wywożonych do portów Dalekiego Wschodu. Nasz „Państwowy Instytut Ek-

sportowy”, o ile nie zechce stać się martwą instytucją biurokratyczną przeznaczoną nie do ułatwienia eksportu, a tylko do podpisywania rozmaitych „kawalków”, albo też zgoła fantastycznym utworem zajmującym się teoretycznymi dociekaniami, które może staną się kiedyś chlubą zaskorupiałego jakiegoś archiwum ma tutaj bardzo szerokie i wdzięczne pole do pracy.

Stworzenie i urządzenie stałej linii żeglugi z naszych portów bałtyckich do Shanghai, Dajrenu, Władywostoku i portów japońskich — w ilości na początek conajmniej sześciu rejsów rocznie, jest także postulatem pierwszego rządu.

Dla ułatwienia czynności płatniczych, powinien być założony w Warszawie oddzielny „Bank dla Handlu eksportowego”, ewentualnie jeden z istniejących już banków, powinien zająć się temi funkcjami.

II. SZKOLNICTWO.

Drugą kwestją nadzwyczaj ważną dla przyszłości kolonji polskiej na Dalekim Wschodzie, jest sprawa szkolnictwa.

Musimy tutaj uwzględnić: a) szkolnictwo kolonialne w Polsce i b) szkolnictwo polskie w krajach Dalekiego Wschodu.

Jest to jasne i nie podlegające dyskusji pytanie jak ważną rolę odgrywają szkoły polskie, które dotychczas we Wschodniej Syberji oraz w Chinach egzystowały, a w części jeszcze obecnie egzystują. Z powodu przyczyn ogólnie znanych, nie możemy teraz pisać o szkolnictwie polkiem na Syberji. Szkoły polskie prosperują obecnie tylko na terytorjum chińskim. Mamy tu jedną szkołę średnią, to jest Gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie i kilka szkół początkowych.

Gimnazjum. Co się tyczy gimnazjum, to muszę z naciskiem zaznaczyć, że charakter jego, jako szkoły średniej ogólno-kształcącej, powinien i musi być zachowany. Słyszymy często zdania, że należałoby szkołę tę zamienić na jakiś specjalny zakład, kształcący i przygotowujący naszą młodzież tylko do pracy na miejscu, t. j. w Chinach. Twierdzenie to jest bardzo powierzchowne, w praktyce prawie niewykonalne, a nawet szkodliwe. Gimnazjum im. H. Sienkiewicza jest jedynym zakładem naukowym średnim, do którego garnie się obecnie młodzież polska z prowincji Giryńskiej i Hejlukskiej. Jest rzeczą zupełnie możliwą i naturalną, że w przyszłości będą do niej przyjeżdżać także uczniowie z innych prowincji i krajów Dalekiego Wschodu. Ale trudno wymagać, ażeby wszyscy, którzy w tym zakładzie studjują, uczuwaliby zamiłowanie i powołanie tylko do studjów specjalnych, dostosowanych do warunków wyłącznie na D. Wsch. istniejących, to jest przygotowywali się tylko do pracy w handlu bankowości i t. p. Praktyka ze wszystkich krajów wskazuje, że zakłady naukowe o typie jakimś specjalnym gromadzą młodzież nie ze ściśle ograniczonej miejscowości, ale przeciwnie z najbardziej odległych obszarów, w których tylko znajdują się jednostki, czujące specjalne powołanie do tego lub owego fachu.

Widzieliśmy przed wojną, że do „Instytutu Wschodniego“ we Władywostoku uczęszczało zawsze trzy czwarte studentów, którzy przyjeżdżali w tym celu naumyślnie z głębi Rosji, a wychowawcy gimnazjów władywostockich—w przeważnej ilości studjowali w Tomsku lub w Moskwie. Inny przykład mamy w naszej Szkole Morskiej w Tczewie.

Teoretycznie możnaby się spodziewać, że będą do niej uczęszczać wyłącznie tylko Pomorzanie. Natomiast praktyka wykazuje wielką frekwencję kandydatów z Wileńszczyzny i Małopolski, a Pomorzanie studjują najchętniej w Uniwersytecie Poznańskim.

Większość młodzieży stara się poznać to, co jest dla niej nowem i zajmującym, niechętnie natomiast odnosi się do zjawisk ją otaczających, które stają się spowszedniałemi i nieciekawemi. Zjawisko to obserwujemy u abiturjentów, którzy dotąd złożyli egzamin dojrzałości w gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie. Marzeniem każdego z nich jest pojechać na studia do Polski i widzimy, że ponoszą największe ofiary, ażeby to urzeczywistnić. A jeżeli który z nich pozostał na miejscu, to tylko z powodu braku środków materialnych.

Prócz tego istnieje jeszcze druga przyczyna, z powodu której dzieci polskie, urodzone i wychowane na obczyźnie, powinny jechać po dojściu do wieku młodzieńczego do Polski. Wychowanie wśród obcych, nie bacząc na uczęszczanie do szkoły polskiej—musi stopniowo wynaradawiać i pozbawiać ich polskości, a przedewszystkiem ducha polskiego.

Smutny przykład mamy na naszym wychodźstwie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wiadomo powszechnie, że trzecie pokolenie polskie, już się tam zupełnie wynaradawia na korzyść Anglo-Sasów.

Na dalekim Wschodzie Azji nie jest wprawdzie tak źle, gdyż otoczenie ma zanadto odmienną kulturę, język i obyczaje. Ale widzimy z przykładów innych narodów europejskich, zamieszkałych na Dalekim Wschodzie, że bez dopływu ojczystej kultury, którą można zaczerpnąć tylko wśród swoich i we własnej Ojczyźnie, następuje zwyrodnienie typu narodowego. Jako przykład przytaczam Portugalczyków, którzy oprócz własnej kolonii Makao, mieszkają w każdym prawie portowym mieście chińskiem, i to w dość wielkiej ilości. Chociaż zachowali język portugalski i nawet dość znaczną czystość swej rasy, to dzięki słabej odporności nabyli tyle i tak ujemnych cech, że Anglicy, Niemcy, Skandynawowie, Francuzi i t. d. nie uważają ich za Europejczyków. Doszło do tego, że małżeństwo z Portugalką, urodzoną i wychowaną w Chinach, uważane jest za taki sam mezalians jak małżeństwo z Chinką lub Mongołką.

Dlatego też Polacy urodzeni i wychowani do wieku młodzieńczego na Dalekim Wschodzie powinni wyjeżdżać przynajmniej na okres trzech do pięciu lat do Polski na studia, ażeby w okresie rozwoju dojrzałości umysłowej, czerpać swoje pojęcia z czystego źródła rodzinnego. Tyczy się to nie tylko chłopców, ale jeszcze więcej dziewcząt, które są w wyższym stopniu narażone na wynarad-

dowanie. A przecież nikt inny, jak one przede wszystkim, mają w przyszłości podtrzymać w rodzinach ducha polskiego i wychować w polskich zwyczajach i polskiej kulturze młode pokolenia. Jakież więc będą dzieci, wychowywane przez matkę, która będzie wprawdzie umiała rozmówić się po polsku, ale po angielsku lub po francusku będzie mówić lepiej, a najlepiej po rosyjsku; a przytem nic ją z Polską nie zwiąże, i o kraju ojczystym będzie miała takie samo egzotyczne wyobrażenie, jak np. o Włoszech.

Niestosowną i nawet szkodliwą jest również teoria, iż szkołę polską, w danym wypadku gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie, należy zamienić na jakąś „szkołę obcych języków“, gdzieby uczono głównie po angielsku i po francusku, a oprócz tego wykładano jeszcze także język polski. Możliwe, że z takim wykształceniem mogliby wychowawcy gimnazjum—płci obojga—znaleść prędeż „posadę“, aniżeli po otrzymaniu wykształcenia czysto polskiego. Ale przecież szkoła średnia, „ogólno-kształcąca“ nie jest poto, ażeby dawać natychmiast „posadę“. Jej zadania są zupełnie inne, a przytem o wiele szersze. Szkoła ogólnokształcąca otwiera drogę do wszelkich zawodów, daje podstawę, otwiera horyzonty wzbudza zainteresowanie, stanowi zatem wstęp do kariery życiowej.

Utrzymanie gimnazjum im. H. Sienkiewicza w charakterze szkoły ogólnokształcącej uważam nie tylko za wskazane, ale nawet za konieczne. Naturalnie, że powinny być wzięte pod uwagę ulepszenia, które nasuwa praktyka i zdrowy krytycyzm. Muszą być w większym lub w mniejszym stopniu zreformowane programy udzielanych przedmiotów. Przy naukach przyrodniczych, powinny być szerzej uwzględnione świat zwierzęcy i roślinny miejscowy, gdyż nasi uczniowie mają o nich tylko ardo mętne pojęcie. Przy nauce geografji należy traktować Daleki Wschód (rosyjski i chiński) o wiele szczegółowiej aniżeli np. Afrykę lub Australię, jak to ma miejsce w podręcznikach krajowych. Przy literaturze polskiej należałoby zwrócić większą uwagę na naszą literaturę „syberyjską“, t. j. dzieła pisarzy polskich o Syberji lub też na tematy syberyjskie, jak również na książki polskie, traktujące o Chinach, Koreji, Japonji i Indjach. Nasi uczniowie mają o tem bardzo małe pojęcia (raczej nie mają żadnego), a któż inny jak nie oni są siłą faktów powołani do tego, ażeby być w kursie tej zaprawdę olbrzymiej pracy kulturalnej i naukowej, jaką Polacy na Syberji i na Dalekim Wschodzie położyli.

Również należałoby koniecznie wprowadzić jako oddzielny przedmiot naukę o Wschodzie (tak zw. „orientalistykę“) i uczynić ją obowiązkową dla ucni dwóch najwyższych klas, t. j. dla klasy VII i VIII-iej. Przedmiot ten był już raz wykładanym w roku szkolnym 1921—1922, ale jako nieobowiązkowy i dlatego młodzież odnosiła się doń po większej części bez należytego zrozumienia. Wykłady tego przedmiotu należy wznowić i traktować go poważnie, jako część nieodzowną ogólnego wykształcenia.

Co się zaś tyczy udzielania w gimnazjum lekcji języka chińskiego, to z wielkim żalem muszę skonstatować, że to jest prawie niemożliwym, a przynajmniej nieproduktywnym. Program naszego gimnazjum jest tak obszerny i nasi uczniowie tak słabo władają językiem polskim, że językowi chińskiemu możnaby poświęcić zaledwie parę godzin tygodniowo a to jest stanowczo zamało i nasza młodzież marowałaby tylko czas napróżno.

Takie same rezultaty daje praktyka w charbińskich szkołach rosyjskich z programem ogólnokształcącym, w których język chiński jest wykładany; pomimo tego uczniowie znają go bardzo mało i tylko czas tracą napróżno. Inaczej ma się rzecz w szkołach specjalnych zawodowych, w których przez przeciąg kilku lat poświęca się językowi chińskiemu od 5 do 6 godzin tygodniowo. Zasięgalem w tej sprawie opinii najwybitniejszych sinologów w Charbinie i wszyscy są tego samego zdania.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy, na którą musi być zwrócona szczególna uwaga naszych pedagogów przy wychowaniu uczniów, jest praca wychowawcza w kierunku rozwinięcia w nich zachodnio-europejskich pojęć etycznych i obywatelskich. Trzeba zawsze pamiętać o tem, że Charbin, podobnie zresztą jak i wszystkie miasta i porty międzynarodowe na świecie, liczy mnóstwo ludzi, u których walka o byt, ewentualnie walka o pieniądź przytępiła nie tylko pojęcie o etyce, ale nawet o poczuciu honoru i godności własnej. Brak poszanowania prawa, kręctwo, zanik poczucia sprawiedliwości i t. d. nie są nawet uważane za występki, lecz wprost przeciwnie za dowód rozumu, albo przynajmniej sprytu życiowego. Taka atmosfera oddziaływała bardzo ujemnie na naszą młodzież, to też jej wychowanie pod względem etycznym i obywatelskim jest o wiele ważniejsze, aniżeli teoretyczna nauka przedmiotów szkolnych.

(d. c. n.).

Zagadnienie organizacji władzy wykonawczej.

GŁOS W DYSKUSJI.

Wyluszczone tu poglądy p. Krystyna Ostrowskiego na zagadnienie ustrojowe, zamieszczamy jako głos w wolnej dyskusji.

Okres przeżywany obecnie przez ludzkość możnaby słusznie nazwać okresem poszukiwania nowych form bytu—nowych form życia społecznego i — o co w tem miejscu nam chodzi — nowych form ustroju państwowego. Poszukiwania te wahają się w najrozmaitsze strony—od monarchizmu do bolszewizmu włącznie.

Nic też dziwnego, że Polska tem silniej zmagania się nowych i starych form odczuwa. Mając zerwaną tradycję form własnych i mając zrozumiałą wstręt do powszechnie niedawno jeszcze przyjętych, jak tych, które obowiązywały u zabor-

ców — nie zdobyła się Polska na nawiązanie do swych dawnych tradycji państwowych, któreby niewątpliwie nieco zapłodniły myśl twórczą naszych domorosłych statystów sejmowych.

Twórcy naszej nieszczęsnej Konstytucji Marcowej nie umieli dojrzeć, że ustroj parlamentarnej republiki w najklasycyźniejszej jej formie przeżywa obecnie ostre przesilenie i poszli w tym kierunku w sposób najdalej idący, dalej nawet niż poszło w praktyce którekolwiek państwo, realizujące najbardziej oderwane koncepcje tego ustroju. Fatalne skutki tej krótkowzroczności, tej małości ludzi, którym była dana możliwość spełnienia wielkiego dzieła, dały się wkrótce odczuć.

Punkt ciężkości zagadnienia ustrojowego znajduje się obecnie zarówno u nas, jak i wszędzie prawie w Europie, w problemie władzy wykonawczej.

Dawniej walczyły ludy przede wszystkim o dobry wymiar sprawiedliwości — o niezawisłość sądów. Ten postulat został osiągnięty w zupełności i zdaje się być rozwiązany tak dalece, że nikt już obecnie (poza może jedynymi bolszewikami) nie próbuje go zmieniać.

Mniejsze już rezultaty zostały osiągnięte pod względem wydawania ustaw. W tym zakresie wiele jeszcze instytucyj i form nie wykrystalizowało się w kształt ostateczny, a granice tej władzy nie zawsze zostały wyraźnie oznaczone. I tu jednakże wyrobiły się pewne instytucje, które, jeżeli niekoniecznie w swym kształcie dzisiejszym, to w każdym razie na nim się opierając, będą się nadal ustalały i przetrwają.

Inaczej zupełnie kształtowały się losy władzy wykonawczej. Pierwotnie była ona dominująca, a nawet wyłączna. Kształtowanie się władzy ustawodawczej i sądowej jest ich stopniowym wyłamywaniem się z pod wyłączności jedynej władzy państwowej. Władza ta, pozbawiona swych dwóch doniosłych atrybutów: prawa wydawania ustaw i prawa sądenia, została sprowadzona do roli jedynie władzy wykonawczej. Szef Państwa, o ile nawet pozostał monarchą, stał się teraz jedynie głową, i to często fikcyjną, egzekutywy.

Stopniowo zaczęły parlamenty coraz bardziej podporządkowywać sobie egzekutywę i coraz to bardziej w jej zakres działania wkraczać. W końcu nawet granica między ustawą a zarządzeniem administracyjnym zaczęła się zacierać. Rząd stawał się powoli komitetem wykonawczym parlamentu.

Jednakże skomplikowane problemy powojenne, z którymi musiały walczyć wyczerpane wojną społeczeństwa, wytworzyły warunki wymagające wyjątkowo silnej i sprężystej administracji, planowych i sprawnych zarządzeń. Wytworzyła się bezpośrednia potrzeba walki z piętrzącymi się kształtami nieprzyjaciela przeciwnościami i tak, jak na polu bitwy zachodzi konieczność jednolitego dowództwa, skupionego w jednym ręku, tak i w życiu państwa powojennego okazała się konieczność podobnie zorganizowanej władzy. Stąd też na pierwsze miejsce wysunęło się zagadnienie egzekutywy. Ten to problem musi Polska przede wszystkim rozwiązać.

Nie możemy jednak nawrócić poprostu do form dawnych, już wyszłych z użycia. Rozwój ludzkości na to nie pozwala. Musimy, biorąc pod uwagę minione doświadczenia, szukać form nowych. Formy te muszą odpowiadać stanowi kulturalnemu, rozwojowi technicznemu i t. p. dzisiejszego społeczeństwa. Muszą być wyrazem dzisiejszych potrzeb i muszą umożliwić dalszy rozwój ludzkości w swych ramach. Muszą być wyrazem teraźniejszości. Nie można również zapoznawać szczególnych potrzeb, jakie dany naród i państwo w odróżnieniu od innych przedstawia. Potrzeby te są z jednej strony wynikiem szczególnych warunków, w jakich się państwo znajduje, z drugiej zaś wyrazem charakteru i ducha narodowego w rzucie dziejowym — t. j. tradycji narodowej. Niestety, z tradycją narodową autorzy Konstytucji Marcowej nie liczyli się wcale — a z charakterem narodowym o tyle, że zamiast nałożyć mu wędzidło — popuszczono mu cugli.

Wreszcie bardzo doniosłą w swych skutkach zdobyczą ostatniej doby jest naukowa organizacja. Sądzę, że przedewszystkiem należałoby ją zastosować do organizacji państwowej. Tam właśnie, gdzie chodzi o ustrój władzy wykonawczej, której naczelnym wymogiem jest sprawność, byłoby karygodnym zacołaniem naukowych zasad organizacji nie zastosować.

Tak więc ustrój Państwa, a w szczególności stanowisko i zasady organizacji władzy wykonawczej, winny być wyrazem wypadkowej teraźniejszości dziejowej oraz ducha i tradycji narodowej — a to w uzgodnieniu z postulatami naukowej organizacji.

Od końca XVIII stulecia ustaliło się przekonanie, że jedyną racjonalną formą sprawowania władzy w Państwie jest ścisły jej rozdział na władzę: ustawodawczą, wykonawczą i sądową i to rozdział jaknajdalej posunięty. Postawienie tej zasady wywołało stopniowo przekonanie, że istnieją w Państwie trzy niezależne i równoznaczne władze o różnym zakresie działania. Zwierzchnika Państwa, króla czy też prezydenta, sprowadzono do roli szefa jednej z tych władz — egzekutywy. Zaprzeczono przez to zasadniczemu postulatowi rozumu i wymogowi racjonalnej organizacji, którym jest jedność. Dziś znów staje się oczywiste, że całkowita władza musi być skupiona w jednym miejscu — w jednych rękach. Powyższy zaś podział może być tylko tej władzy praktycznym wykonywaniem.

Tak więc, ponad temi trzema władzami stanąć winna w Państwie władza czwarta, a raczej pierwsza — władza Zwierzchnicza państwowa — przez głowę Państwa. Tę domaga się doświadczenie i tę domaga się zdrowy rozsądek.

Nie przesądzam narazie, w jaki sposób Szef Państwa miałby otrzymywać swą władzę. Być może, że plebiscyt jest najwłaściwszą ku temu formą. W każdym razie znaczna część miarodajnej opinii ku temu obecnie się skłania. Istotnym jest tylko — o ile czas sprawowania władzy przez głowę państwa ma być zgóry ograniczony, ażeby ten czas był możliwie najdłuższy. Wtedy tylko może ten, kto to stanowisko piastuje, osiągnąć należną mu

powagę w narodzie i dawać gwarancję, że polityka jego pozbawiona będzie pobudek osobistych i stać będzie całkowicie na gruncie racji stanu. Sądzę, że dożywotność stanowiska Szefa Państwa byłaby zgodną z tradycją polską.

Również tytuł Prezydenta Rzeczypospolitej, zupełnie nam obcy, jest w dodatku silnie związany z pojęciem prezydenta jako głowy władzy wykonawczej w chwili jej upadku. Posiadamy w Polsce niezmiernie wymowny i o pięknej tradycji termin — Naczelnik. Twórcy Konstytucji Marcowej przez nieważność dla tego, który wówczas godnie ten tytuł piastował, lekkomyślnie go odrzucili. Byłaby pora go przywrócić.

Stanowisko *Naczelnika Państwa* należy rozumieć zasadniczo jako piastuna całości władzy w państwie. Z konieczności jednak władza jego byłaby wykonywaną przez pewne ustalone przez Konstytucję organy, któreby ją wykonywały w jego zastępstwie, w granicach i w sposób ustalony. Władza, którąby Naczelnik sam bezpośrednio sprawował, winna być określona jako władza zwierzchnicza regulująca. Funkcje te spełniałby Naczelnik samodzielnie, bez dotychczasowej kontrasygnaty. Pozostałe funkcje winny być przekazane odnośnym państwowym organom w myśl przyjętego potrójnego podziału. W stosunku do władzy ustawodawczej winien mieć Naczelnik szczególnie szerokie kompetencje. Winien mieć przedewszystkiem nieograniczone prawo rozwiązywania Izb i szerokie prawo odraczania. Prawo sankcji w stosunku do uchwalonych ustaw wynika jako oczywisty atrybut z powyższej definicji władzy zwierzchniczej. W stosunku do władzy sądowej winien Naczelnik mieć bardzo szerokie prawo łaski i to nie tylko w wypadkach poszczególnych, ale i ogólnych, t. j. amnestji.

W stosunku do władzy wykonawczej Naczelnik winien być jej kontrolerem. Jemu więc podlegać winna bezpośrednio Kontrola Państwowa i jemu składać sprawozdanie. On jeden może nagradzać zasługi, nadając samodzielnie ordery i odznaczenia. On jest naczelnym wodzem i to z daleko sięgającymi kompetencjami. Naczelnik mianuje i odwołuje wyłącznych swych urzędników, dowódców wojskowych i ministrów na wniosek Szefa Rządu, a przedewszystkiem mianuje i odwołuje samego Szefa Rządu.

Stanowisko i kompetencje Szefa Rządu obecnie punktem ciężkości całego zagadnienia. Publicystyka nasza w swych dotychczasowych dociekaniach zna właściwie tylko dwa systemy władzy, między którymi wahają się sympatje. Jednym jest t. zw. system francuski, w najdalej idący sposób zastosowany obecnie w Polsce. System ten zupełnie zdyskredytował się już prawie wszędzie, nawet we Francji. Tam nawet, gdzie de nomine istnieje, de facto uległ znacznym przeobrażeniom.

Drugim klasycznym typem jest t. zw. system amerykański, w którym szef Państwa sam bezpośrednio stoi na czele egzekutywy i osobiście władzę sprawuje. Bezkrytyczni nasi pisarze sądzą, że przerzucając się z jednego krańca w drugi, jak od różdżki czarnoksiężskiej, wszystko się zmieni i poprawi. Sądzę, że system ten okazałby się u nas

jeszcze od obecnego gorszym. I nietylko u nas. Nigdzie, poza Ameryką, nie dał się on skutecznie zastosować. Brak stałego elementu w ustroju państwowym doprowadzić musi do zupełnej dezorganizacji maszyny państwowej. Zresztą życie zaczyna wytwarzać formy nowe.

Charakterystycznym dla doby obecnej jest wysuwanie się na czoło życia państwowego pojedynczych osobowości, które dzięki swym wielkim wartościom i osobistej zdolności do sprawowania władzy ujmują ją w swoje ręce jako t. zw. powszechnie dyktatorzy.

Równie znamienne jest zjawisko, że tam, gdzie szef Państwa nie był szczególnie skompromitowany, tam w chwili przewrotów, w czasie których obejmował władzę swą „dyktator“, stanowisko głowy państwa pozostawało niezmienione, a nawet wzmocnione. Szef państwa, o ile posiadał naprawdę głęboki rozum stanu i zrozumienie rzeczywistości, przychylił się na jego stronę. Wódz zaś stawał u boku głowy państwa, jako najważniejsza ostoja władzy zwierzchniczej.

Niestety, nie wszędzie zdobył się piastun najwyższego w państwie stanowiska na tak głębokie zrozumienie zjawiska dziejowego i — musiał ustąpić przed żywiołowym pochodem koniecznych wydarzeń. Dekadencja władzy wykonawczej doprowadziła do tego, że wbrew wyrobionej już ostatecznie w samej administracji zasadzie indywidualnego wykonania władzy, władza administracyjna — rząd, przybrała formę zbiorową. Gabinet Ministrów przy Głowie Państwa stał się, gdy Głowie Państwa wszelką faktyczną władzę odebrano, Radą Ministrów — jeszcze, na szczęście, z Prezesem Rady Ministrów na czele. Prezes ten miał już się stać tylko primus inter pares w Radzie, gdyby nie to, że współcześnie wodzowie obrali przeważnie dla siebie właśnie to stanowisko, zakreślając mu przez to nowe zadanie i ukazując nowe, bardzo szerokie, widnokręgi.

Koncepcja ta nie jest nową. Właściwie jak długo rządzenie było naprawdę wykonywane, tak długo we wszystkich państwach istniało wyraźne stanowisko bezpośredniego wykonawcy władzy, które przeważnie zwało się urzędem kanclerza. Rola dzisiejszych „dyktatorów“ jest bardzo podobną do roli dawnych, potężnych swymi indywidualnościami, a przez to wpływowych kanclerzy. Wielcy mężowie stanu naszej przeszłości pozostawili nam wspaniałą tradycję kanclerską. Wznowienie jej jest dzisiaj postulatem chwili.

Z pojęciem kanclerza łączy się nieodzowne pojęcie władzy wykonawczej sprawowanej jednoosobowo. Jednoosobowość taka jest nietylko wyrazem dzisiejszych konjunktur politycznych, ale również elementarnym wymogiem racjonalnej organizacji. Sprawowanie władzy wykonawczej ma wiele podobieństwa do zarządu przedsiębiorstwa prywatnego. Tak, jak w przedsiębiorstwie nie do pomysłenia jest kolegjalne załatwianie spraw, tak też i w nowoczesnym państwie rząd musi być jednoosobowy.

U boku więc Naczelnika stanąć winien Kanclerz Rzeczypospolitej, który rządziłby

państwem z jego ramienia i w jego imieniu. Musi więc być Naczelnika mężem zaufania, być przez niego dowolnie mianowanym i usuwanym.

Odpowiedzialność bezpośrednia władzy wykonawczej przed ustawodawczą nie daje się właściwie uzasadnić inaczej, jak przez stwierdzenie jej podrzędności — a ta właśnie podrzędność winna być usunięta. Natomiast naturalną jest ich wzajemna współzależność, jako władz równorzędnych. Współzależność ta nie powinna być jednak hamulcem dla ich działalności i winna być normowana ręką Naczelnika. Władza ustawodawcza winna się zajmować wyłącznie wydawaniem mądrych ustaw, nie mieszając się do administracji. Z zakresu spraw administracyjnych należy pozostawić Sejmowi jedną — uchwalenie budżetu.

Przy tak nawet zracjonalizowanej kompetencji Sejmu współzależność obu władz będzie jeszcze znaczną. Kanclerz mający w Sejmie poważną i oś mocnych przeciwników będzie mógł być obalony przez odmowę uchwalenia ustawy, na której mu zależy. Sejm będzie mógł tą drogą dopilnować, by zbyt silna indywidualność kanclerza nie wprowadziła Państwa na drogę sprzeczną z dążeniami narodu, ale będzie mógł to uczynić tylko w wypadkach ważnych. Przedewszystkiem zaś nie będzie Sejm miał pokusy obalania kanclerza, mając małe szanse wprowadzenia na jego miejsce swojego kandydata, t. j. lidera największego w Sejmie ugrupowania. Wybór następcy bowiem, podobnie jak i rozwiązanie Sejmu, całkowicie będzie od Naczelnika zależał.

Tak więc rządzić państwem winien kanclerz. Na wyżynach zaś władzy rządzić — znaczy prowadzić politykę państwa — zarówno politykę wewnętrzną, jak i zewnętrzną. To też resorty spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych winny wchodzić w zakres urzędu kanclerskiego. W praktyce jednak Kanclerz nie byłby zwykle w stanie podjąć tym olbrzymim zakresem działania. Winien on więc mieć bezpośredniego współpracownika, męża najbardziej sobie zaufanego, jako podkanclerza.

Przy takim ustroju ministrowie stojący na czele poszczególnych pozostałych resortów mieliby tylko charakter współpracowników kanclerza, działających na podstawie władzy przez niego delegowanej. Resorty specjalne, spraw wojskowych, gospodarczych, skarbu, komunikacji, oświaty, sprawiedliwości stałyby się działami prowadzonymi według ogólnych dyrektyw kanclerza przez kierowników fachowych.

Rada Ministrów w tem ustroju miałaby tylko charakter pomocniczy, ciała doradczego przy kanclerzu i nie byłaby instytucją prawno-publiczną.

Jasnym jest, że zastosowanie w Polsce powyższych postulatów jest rzeczą łatwą. Trzeba by nietylko stworzyć nową konstytucję, ale i wyrobić nową, bo z nowych form i nowego ducha wynikającą praktykę państwową. Niejednokrotnie już jednak w dziejach ludzkości wielkie wypadki narzucały nowe, zupełnie odmienne od dotychczasowych formy państwowe. Sądzę, że miarą wielkości czasów dzisiejszych będzie, czy zdobędziemy się na nowe, lepsze formy ustrojowe. *K. Ostrowski.*

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO.

Literacki kościół wojujący.

Prowadzimy z tego miejsca już od dłuższego czasu t. zw. kampanję o sprawy i uznanie literatury współczesnej wśród warstw czytelniczych. Nie ulega chyba wątpliwości, że wobec zalewów przykładów obcych zagadnienie nasze ma wagę doniosłą, pierwszorzędną, chodzi tu bowiem wkońcu o kształtowanie estetycznej wyobraźni całego pokolenia, z drugiej zaś strony o utrzymanie ciągłości narodowego obyczaju, którego najżywszą wyrazicielką jest literatura ojczysta.

Utrzymanie ciągłości rozumiemy praktycznie, t. zn. — sądzymy, iż ciągłość owa nie układa się, — jak chce tego studjum literatury w szkole średniej podawane, — od zamierzchłych początków aż do naszych czasów, lecz wręcz przeciwnie od zrozumienia literackiej współczesności aż do pierwszych początków.

Łatwo jest zająć ucznia literaturą współczesną, następnie zaś prowadzić wielkimi okresami do źródeł. Nader trudno, — od niezrozumiałych ze względu na wiek młodego adepta początków historycznych wprowadzać przez ubiegłe okresy — do współczesności.

Właściwe postawienie sprawy literatury współczesnej w gimnazjum i na uniwersytecie to w znacznym stopniu opanowanie, zachowanie dla narodowych celów wyobraźni narastającego pokolenia, oraz wytworzenie istotnej łączności z okresami literackiej przeszłości.

W walce, jaką prowadzimy o uznanie tych spraw, wyświetlaliśmy różne strony zagadnienia: Sprawy rynku księgarskiego i panujących na nim stosunków wydawniczych: A więc opieszałości naszych wydawców, ich chciwości, która z dzieła literackiego czyni produkt mody jednorocznej... Braku szacunku ze strony kapitału księgarskiego dla całokształtu pracy pisarskiej, (jakże niedbałe zbiorowe wydania Prusa, czy Weysenhofa przy Tygodniku Ilustrowanym, zaniedbanie całej twórczości Orkana, szata zewnętrzna zbiorowego wydania pism Sieroszewskiego itp.) nieudolny sposób kolportażu książek, nędzne warunki płacy autorskiej.

Zwracaliśmy uwagę, jak stosunki te odbijają się na twórczości autorów, którzy schodzą przedwcześnie z pola i nie mogą znaleźć dla pracy swej choćby tyle opieki, ile dziś mają już wszędzie w swych związkach dozorczy domowi, czy roznosiciele gazet.

Poruszaliśmy również sprawę stosunku szerokiego mas czytelniczych do książki. Książka, jej kult, istnieje u nas dopiero w załączku, na ogół, niestety nie ceni się u nas jeszcze książek więcej od pudełka po wypalonych papierosach.

Wymienione powyżej sprawy i kwestje rozstrzygnie, — zapewne, — coraz szerszy, coraz bardziej demokratyczny rozwój społeczeństwa. Sądzimy jednak, że w całym splocie tych spraw i kwestyj nie wolno pominąć i tej, której nie poruszaliśmy dotąd, a która na kształtowanie się stosunków może mieć wpływ bardzo znaczny.

Jest to kwestja kształcenia młodych polonistów w naszych uniwersytetach. Młoda polonistyka to przecie ów najważniejszy literacki kościół wojujący. To najważniejsze ośrodki całej sprawy rozumienia i miłości literatury ojczystej... Ośrodki obejmujące całą młodzież w całym kraju od szóstego roku życia aż do, przeciętnie 24 roku, t. j. do ukończenia uniwersytetu.

Poloniści nasi zaprawieni zostają do pracy na uniwersytecie. Tu poznają strukturę języka, jego historję, tu zaznajamiają się z jego anatomją, procesami rozrostu, czy zaniku, tu wreszcie poznają serce mowy ojczystej w odmianach tętna natchnień prozy i poezji.

Wydaje się nam, że w owem zaprawianiu polonistów do ich wspaniałej misji uniwersytety nasze popełniają zasadnicze błędy. Błędy, które mszczą się później na praktyce zawodu i sprawie literatury w szkolnictwie naszym przynoszą niepowetowane szkody. Uniwersytety bowiem nasze pracują niecelowo. To znaczy tak, jakby każdy z polonistów miał później w życiu zostać profesorem uniwersytetu. Najwyższe nasze uczelnie kształtują badaczy, z których później w życiu 99 na 100 nigdy badaczami nie będzie.

Powiedzmy śmiało: Badacze owi, kształceni są przez nasze uczelnie nader jednostronnie: Cała ich uwaga i technika wysiła się gwohli opanowania okresów minionych, osiadłych, ustalych, pozbawionych a priori niejako, tego wszystkiego, co zaciemniałoby mogło scholastyczny wynik badania. Są to naogół badacze tego wszystkiego w literaturze, co wyszło już dawno z orbity aktualności życiowej.

Co powiedzielibyśmy o nauce chemji, która zatrzymuje się na doświadczeniach Gay-Lussaca, o matematyce, która ze względu na trudności dostatecznego określenia pozycji Poincarego, czy Einsteina zatrzymuje się na zdobyczach z połowy XIX w., o medycynie, która ze względu na trudności, jakie powoduje organizm żywy, ograniczałaby się wyłącznie do pracy w prosektorjum? Czy tego rodzaju zastarzałym chemikom, matematykom, lub medykom powierzylibyśmy stanowiska w sensie wybitnie praktycznym? Czy lekarzowi, który zatrzymał się przed doświadczeniami Pasteur'a powierzylibyśmy stanowisko lekarza szkolnego w jakiejkolwiek ze szkół naszego kraju?

Zapewne, nie.

Tak jednak mniej więcej mają się rzeczy, gdy mowa o przygotowaniu młodych polonistów do ich, jakże ważnego praktycznie zawodu. Polonista nasz „wypuszczony” z uniwersytetu zna elementy gramatyki porównawczej; wierzymy, iż umie o tyle o ile swój humanizm, zna o tyle o ile historję literatury europejskiej ze specjalnem uwzględnieniem literatury polskiej.

Ale,—polonista ów, dzięki temu, iż badał zawsze okresy minione na tle współczesności dawno już minionej, zebranej już tylko w aktach i dokumentach—nie ma pojęcia, jak badać przejaw literacki na tle życia żywego,—współczesnego. Nie ma do tego rodzaju ujmowania rzeczy żadnego podejścia,—o ile do objawów literatury współczesnej, jako płynnych, zmiennych dyscyplina scholastyczna nie wyrobiła w nim bezsilnej pogardy.

Tymczasem uczniowie owego polonisty już od trzeciej, czwartej klasy gimnazjalnej na ten właśnie temat współczesności najchętniejby ze swym nauczycielem rozmawiali. Trudno przecie wymagać od nich, by dla swej przyjemności czytali Kronikę Bielskiego, czy żywot Człowieka Poczciwego. Uczniowie ci, czy uczennice, a więc młodzież, obdarzona intuicją rzeczywistości, chce wiedzieć przedewszystkiem, co ma myśleć o pisarzach współczesnych sobie. Od nich zaczyna, żadna siła nie wytlomaczy tej młodzieży, że lepiej zaczynać od biblij szarospatackiej, — jak żadna siła nie skłoni dziś żadnego malca, by lubował się łukiem, kuszą, czy trycyklem, gdy może bawić się karabinkiem, lub rowerem.

Bezradny nauczyciel usuwa ową współczesność z przed oczu swych adeptów łatwem twierdzeniem, że na to—jeszcze zawczasem. Doprowadza to nieuchronnie do tego, iż oficjalne studjum literackie idzie swą szkolną drogą oficjalną, istotne zaś zainteresowanie uczniów przebiega się już samodzielnie naprzód, drogą konspiracji.

Nie potrzebujemy chyba dowodzić, ile zła kryje się w tego rodzaju rozstrzygnięciach.

Jeszcze gorzej przedstawia się ryzsztunek wypuszczonego z uniwersytetu polonisty, gdy chodzi o nauczanie uczniów pisania.

Nauka języka polskiego, trwająca przez lat dwanaście, t.j. aż do okresu uniwersyteckiego składa się wszakże z dwóch najkonieczniejszych zagadnień: Pragniemy *nauczyć młodzież czytać i pisać*. Bardzo mało — a zarazem bardzo wiele — i może wszystko.

Czytać ów polonista nie nauczy, bo przecie sam z żywego czytać nienauczony!

Jakże jest z ową nauką pisania, gdy już tajemnicze arkana ortografji zostały skutecznie przewyciężone?

Z nauką pisania jest gorzej może, niż z czytaniem a to z tego prostego powodu, że przeciętny, „normalny” polonista — sam zgoła pisać nie umie. Pokazano mu na uniwersytecie wszystkie sposoby pisania i tworzenia w słowie, nauczono chytrej, policyjnej inwigilacji wpływów, nauczono może nawet siekać wiersze tasakami wszelakich stóp a prozę żyłować wszelkimi sposobami okresów.

Zapomniano jednak o jednym: *O doświadczeniu*. Zapomniano o tem, iż *wiedzieć* jak się coś robi a samemu *umieć zrobić*—to ogromna różnica.

Polonista nasz jest w położeniu pianisty, któryby znał wszystkie sposoby zasady techniki fortepianowej, lecz nigdy palców na klawiaturze nie postawił. W położeniu kowala, który zna wszystkie sposoby kucia konia, lecz nigdy kopytą konia żywego nie trzymał w rękę przy kuźni. Polonista ów, gdy już chodzi o umiejętność pisania, jako polonista uniwersytecki,—jeden tylko sposób pisarski przyswoił sobie, mianowicie, że powiemy trywialnie: gadania o sposobach. Czyli rodzaj seminaryjno-naukowej gwary ostrożnej, bezbarwnej, pełnej zastrzeżeń, dopełnień, uwzględnień itp. Rodzaj kuchennej polszczyzny, lury rozwlekłej a cienkiej, niezaradnej w obliczu określonej rzeczywistości.

Styl ów, rzekomo naukowy, pozbawiony wszystkiego, co żywe i oryginalne oto jedyna na uniwersytecie zdobyta technika, która ma służyć poloniście do nauczania młodych adeptów przepięknej sztuki pisania.

Tymczasem—program wypracowań, zwłaszcza w klasach niższych (w wyższych wracamy oczywiście do uniwersyteckiego abrakadabra naukowego) musi być pełen życia, bliskości wydarzeń codziennych. I oto człowiek, który nie próbował nigdy swych sił w poprawnym opisie, nie mający praktycznie żadnego pojęcia, co to znaczy komponować opis, stopniować jego ekspresję itd.—przeogląda, poprawia, ma urabiać drogi i sposoby opisu, wyrażania słowem zachwyty z powodu przepędzenia wakacyj świąt i t. p. Mówi o tem przez cztery lata niższego gimnazjum, wypisuje niejednokrotnie dyspozycje takich opisów kredą na tablicy,—on, polonista, który nie potrafiłby opisać porządnie jednej godziny prowadzonego przez siebie wykładu.

Skutek łatwo przewidziany: Uczniowie wypełniają schemat, bezmyślnem wypracowaniem schlebiają dyspozycji nauczyciela, nasiakają pogardą dla właściwego wyrażania swych myśli. Nie będą oni nigdy czytelnikami książki, nigdy już nie zajmie ich, *co* i *jak* zostało opisane. Zainteresowanie sztuką pisarską jest tu złamane w zarodku.

Mówimy—sztuką pisarską.—nie pragnąc bynajmniej, by uczniowie gimnazjalni wychodzili ze szkoły średniej pisarzami. Mamy na myśli jednak te podstawowe elementy, jakie winien uczeń opanować, by po 12 latach pracy nad językiem polskim umiał porządnie napisać list, sprawozdanie, wyrazić sensownie to, co myśli i szukać piękna tam, gdzie można je znaleźć.

Tak więc, wedle naszego mniemania, polonistyka uniwersytetów naszych mija się dzisiaj w pewnym stopniu z celem, walnie przyczyniając się do obojętności szerokich mas inteligencji na sprawy rozwoju literatury pięknej.

Jak złu zaradzić?

Bardzo trudno, gdy mowa o tak twardej, sklerotycznej instytucji, jak program uniwersytecki. Sądzimy, że zdrowy rozsądek złemu zaradzi. Zdrowy rozsądek samego społeczeństwa. Wcześniej, czy później trzeba będzie *otworzyć na wydziale polonistycznym katedrę literatury współczesnej*. Przyszły

nauczyciel a nawet przyszły badacz literatury będzie musiał uczyć się objawu literatury nie tylko na trupach przeszłości, lecz na żyjącym organizmie współczesności.

Po drugie — *przyszły nauczyciel*, mający uczniów uczyć pisać, opisywać, opowiadać, *będzie musiał* (o zgrozo niewysłowna) *sam umieć pisać, opisywać i opowiadać.*

Będzie się tego uczył od swego profesora, który, tak, jak profesor konserwatorjum, czy akademii malarskiej ma nie tylko wiedzieć, *jak się maluje, czy gra, lecz sam musi grać, czy malować.*

Czyż nie jest śmiesznością rzeką a może najradszą w dziedzinie nauki, iż t. zw. znawcy natchnień, badacze wlotów poetyckich — jak dotąd, dumni są z tego, iż nigdy nie próbowali nawet swego natchnienia, lub że go wogóle nigdy nie mieli. Czyż nie przypominają oni w pewnym sensie tych fachowych generałów, którzy nad stołem wszelakich „kriegspielów“ odnosili zawsze wspaniałe zwycięstwa a potem na wojnie przegrywali wspaniałe wszystkie bitwy?

Polonista będzie musiał szkolić się i ćwiczyć w praktykowaniu form pisarskich i nie będzie w tem żadnej ujemy dla jego powagi naukowej, jak niema ujemy w studjum medycznem, że człowiek mający być doktorem, musi nie tylko wiedzieć, co przy operacji przecina, lecz także jak igłą i nicią zszywać trzeba rany.

Polonista, który sam będzie umiał czytać to, co żyje we współczesnym życiu, który będzie umiał pisać to co się myśli i czuje, wychowa pokolenie, ceniące język ojczysty tak, jak się kocha i ceni kraj ojczysty. Badacz anatom posługujący się żargonem naukowego rozbioru to człowiek, który z najwyższej w szkole dziedziny z nauki mowy ojczystej czyni rzecz umarłą.

Juljusz-Kaden-Bandrowski.

Miłość tworząca.

*Jest miłość, która serce, jak czarną glebę, orze
Rozpaczy niemilknącej stalowym, ostrym nożem.*

*I ciche skiby bólu kromkami chleba kładzie
Na dwa zagony życia: na każdą noc i na dzień.*

*Jesienią z mlecznych szlaków i ciężkich smutkiem planet
Tajemne strząsa ziarna na łany porane;*

*Wełniastą potem chmurą zasłania niebo drzewom
I poi suchą rolę ukrytych łez ulewą —*

*Aż wiosną, gdy na niebie zawiśnie krąg ognisty
Z zoraną gleby serca pszeniczny łan wytryska*

*I rośnie, rośnie w słońcu, przybiera barwy nowe,
Zakwita wreszcie wonnem, szumiącym, bujnym słowem.*

Jan Szczawiej.

Płody.

*Pod nieba wzrokiem czujnym, pod wzrokiem miłosnym
Gorącym życiem młodość żywi się zielona —
Już gęsto owocami młodej porosły
Jabłoni i grusz liczne liściaste ramiona.*

*Leszczynom się wśród liści wykluty orzechy
Białe i miękkie jeszcze, o wątłej skorupie,
Wychylają się one z pod zieleni strzechy
I piją słodkość ciepła, którą słońce chlupie.*

*Śliwom gruczoły śliwek wyskoczyły na wierzch,
Twarde gruzły, zielonym napęczniałe mleczem.
Maliny, bosa nogi w gęstej gubiąc trawie,
Grudki jagód młodziutkich w dnia nurzają rzecę.*

*Przed chałupą zaś gładka gospodyni młoda,
Siedząc na szarej ławie, bluzkę swą rozpina
I pierś krągłą jak owoc biały wydobywa,
Aby ją płaczącemu niemowlęciu podać.*

Stanisław Ciesielczuk.

Miguel de Unamuno.

Rozmowa z psem*).

August Perez, bohater romanstu „Mgła“ zakochał się w Eugenji Domingo del Arco, którą przypadkowo spotkał na ulicy. Z historii tej zwierza się August swemu psu „Orfeuszowi“.

Ach Orfeuszu!—mówi August po powrocie do domu, podsuwając psu spodeczek z mlekiem. Ach Orfeuszu—postawiłem krok decydujący. Wszedłem do jej mieszkania, wdarłem się do sanktuarjum! Czy ty wiesz, co to znaczy, postawić krok decydujący? Wichry przeznaczeń pchają nas naprzód i wszystkie nasze kroki są właściwie decydujące. Nasze kroki? — Ale czy te kroki należą do nas? Idziemy przez dziki i gęsty bór, w którym nie ma ścieżek. Ścieżki wydeptujemy dopiero własnymi nogami dążąc tam, gdzie na nas czeka przypadek. Są tacy, którzy dążą za jedyną gwiazdą—ja ścigam gwiazdę podwójną, dwie bliźniacze gwiazdy jej oczu. A ta moja gwiazda jest rzutem mojej ścieżki ku niebu, jest projekcją przypadku czy trafu.

Krok stanowczy?.. Powiedz mi Orfeuszu, w imię jakiej to konieczności istnieje Bóg, świat i wszystko? Czy ci się nie wydaje, że idea konieczności jest najwyższą formą, jaką stworzył traf w naszym umyśle?.. A skąd przyszła do mnie Eugenja? Czy

*.) Fragment z romanstu psychologicznego „Mgła“, który ukaże się w najbliższym czasie w przekładzie Edwar-
da Boye.

ja ją stworzyłem, czy też raczej ona mnie tworzy? A może jesteśmy oboje dwoma wzajemnymi tworam, ona moim, a ja jej? Może być, że wszystko na świecie jest tworem każdej rzeczy a każda rzecz tworem wszystkiego? Kto ty jesteś Orfeuszu? I kim ja jestem?

Niejednokrotnie przychodziło mi Orfeuszu do głowy, że nie istnieję i wówczas chodziłem po ulicach, wyobrażając sobie, że jestem niewidoczny dla ludzi. Innym razem zdawało mi się znów, że dla innych nie istnieję takim, jakim w istocie jestem. Oto idę przed siebie krokiem równym i spokojnym, z poważną miną, z wyrazem skupienia na twarzy, a tymczasem ludzie widzą we mnie tylko ucieśnzonego pajaca i śmieją się i drwią za moimi plecami!—Czy ci się nigdy nic podobnego nie zdarzyło, Orfeuszu? Prawda! Jesteś bardzo młody i nie masz życiowego doświadczenia. Zresztą jesteś psem!

Ale powiedz mi: czy wam, psom nigdy nie przychodzi do łba myśl, że jesteście ludźmi? Zdarzają się wszak ludzie o których by można sądzić, że są psami!

Moje życie, Orfeuszu, zwłaszcza od czasu śmierci mej matki, jest bardzo smutne. Każda godzina wali się na mnie, niby głaz, popychany przez godziny, które ją poprzedzają. Nic nie wiem o mojej przyszłości. Teraz, gdy uchyliłem rąbek zasłony, wydaje mi się, że przyszłość się w przeszłość zamienia. Eugenja jest prawie wspomnieniem dla mnie. Och, te dni, które przechodzą, ten dzień, ten wieczny dzień, który mija, we mgle nudy codziennej. Dziś podobne jest do wczoraj, jutro podobne do dziś.

Spójrz Orfeuszu, spójrz na popiół z cygar, który mój ojciec pozostawił tam, na popielniczce. Oto objawienie nieśmiertelności, rewelacja straszliwej nieśmiertelności. Gdy człowiek pozostanie sam i zamknie oczy, otwiera się przed nim przerażająca otchłań wieczności.

Nieśmiertelność to nie przyszłość. Śmierć może nam zrobić pół obrotu i zaczniemy iść wstecz. Wstecz, ku przeszłości, ku temu, co było. I będziemy tak szli, szli bez końca, zwiłając motek naszych przeznaczeń, będziemy szli ku nicości. Ponieważ zaś nicości niema, więc nie dojdziemy do niej nigdy. Pod nurtem naszej egzystencji płynie w przeciwnym kierunku inny nurt—teraz idziemy od dnia dzisiejszego ku jutru, później będziemy szli od jutra ku dniom wczorajszym. Ach, wszystko się tka i pruje jednocześnie. Od czasu do czasu dobiegają do nas szepty i pogłosy i echa tego innego świata, ukrytego we wnętrzu światów naszych. We wnętrzu historii istnieje kontr-historja, której bieg jest wprost odwrotny. Rzeki podskórne dążą od morza do swego źródła.

Teraz oczy Eugenji, jak dwie gwiazdy wschodzą dla mnie na niebie samotności. Błyszcą czystym blaskiem łez, wypłakanych przez moją matkę. Każą mi wierzyć, że istnieję. O słodka iluzjo „Amo ergo sum!“ Ta miłość, Orfeuszu, jest jak deszcz dobroczynny, dzięki któremu opada mgła istnienia. Dzięki miłości czuję moją duszę, tak czuję ją prawie namacalnie. Dzięki miłości, Orfeuszu dusza moja cierpieć zaczyna! A dusza, czemuż jest

dusza jeśli nie wcieleniem miłości i cierpienia? Dni przychodzą i mijają miłość pozostaje. Tam w głębi, w najistotniejszej głębi wszechrzeczy nurt tego świata styka się i krzyżuje z nurtem świata tamtego, a z tego zetknięcia powstaje najsmutniejszy i najśrodszy zarazem ból: ból życia!

Spójrz Orfeuszu na tkaninę, spójrz na łańcuch. Przypatrz się uważnie, jak prędko przechodzi przez człowieka, jak podskakują pręciki i igły. lecz powiedz mi gdzie ów bębenek, na którym rozwijają się pasma naszego istnienia—gdzie jest ten bębenek?

Ponieważ Orfeusz nie widział nigdy warsztatów tkackich, więc trudno mu było zrozumieć swego pana. Spojrzawszy jednak Augustowi w oczy odgadł doskonale stan jego duszy.

Hołd złożony Proust'owi.

Wokoło pamięci niedawno zmarłego Marcel'a Proust'a jasnieje z roku na rok bardziej promienista aureola. Pierwsze jej blaski zawdzięcza zmarły pisarz przyjacielom swym literatom, którzy jeszcze za życia potrafili przeniknąć tajemnicę jego istnienia poświęconego wielkiej twórczości, którzy schylili głowy przed jego dziełem, przyznali mu daleko w przyszłość idące wartości. Za dostojnikami literatury francuskiej podążyli krytycy cudzoziemscy, za nimi kulturalny ogół czytających.

Tak jednym jak drugim zawdzięcza teraz genialny dziwak sławę, która pokrywa wawrzynem jego świeżą mogiłę, ale wyłącznie pierwszym, to jest głębokiej czci i oddanej przyjaźni, zawdzięcza Proust książkę, wydaną w tym roku p. t. „Homage à Marcel Proust“, a zawierająca zbiór wspomnień, studjów literackich, ocen artystycznych i wzruszających wyznań przywiązania 60 pisarzy francuskich i obcych, żyjących i nieżyjących, wspomnień złożonych jak wieniec różnobarwnych kwiatów na skronie zmarłego.

Czytamy tu nazwiska Barrès'a, Leon Daudet'a, Morand'a, Valéry'ego, Gide'a, Thibaudet'a, Desjardins'a, Jaloux, Maurois'a, Riviere'a, Cocteau, Mauriac'a, a nawet Conrada.

Z tych wspomnień i studjów wyłania się jak żywa postać pisarza, subtelny urok jego obcowania, dobroć i wspaniałomyślność, niesamowity „tour d'esprit“, zdolność analizy posunięta do niepojętych dla zwykłych śmiertelników granic, nieopisana wrażliwość i spostrzegawczość uduchowionego seismografu. Stronice tej książki są jakby dopełnieniem własnego dzieła Proust'a, dodają jeszcze barwy i ciepła temu co jest już samo przez się podpatrzoną i utrwaloną falą życia, w najdrobniejszych swych drgnieniach. Nawet wielbiciele Proust'a przyznają, „qu'il est dur à lire“, że trzeba się nałamać do tej formy tak niezwyklej, tak dalekiej od tradycyjnych zalet stylu francuskiego: od jasności i zwięzłości. Dziś jeszcze pomimo ustalonej sławy, która opromienia uoficzone dzieło „Straconego i odnalezionego czasu“, mamy szanownych krytyków literackich, którzy, w samej

Francji, jeszcze odmawiają mu uparcie wartości stylistycznych i twierdzą złośliwie, że dzieła jego są pisane „noga“ i zupełnie nie po francusku... Ce n'est pas du français! powiadają...

Szczerze się przyznam, że nie moda, ani snobizm literacki skłonił mnie do przewyciężenia pierwszych trudności tego „twardego“ pisarza, ale wypadek samochodowy, który, na wstępie mego kilkoletniego pobytu w Paryżu, zmusił mnie do nieruchomego leżenia, przy pełnej przytomności umysłu. Gdyby nie te półtora miesiąca przymusowego odcięcia od świata, w ciemnym pokoju wąskiej uliczki, możebym nie tak prędko trafiła do tajemniczego skarbcza... z braku czasu, cierpliwości, wytrwałości...

Z nieopisanem mistrzostwem umie Proust z nic nieznaczących wypadków codzienności, samym ich opisem stokrotnie artystycznym i głęboko analitycznym wysnuć dalekie perspektywy i skróty istnienia ludzkiego.

Nie egzystują dla niego następstwo czasu, ani przestrzeń, jego dzieło to fala ogromna wspomnień indywidualnych, tajemnych spostrzeżeń twórczo przeżytych, asocjowanych i utworzonych w wizji artystycznej—niema planów, ani akcji, ani intrygi powieściowej. Czy to wspomnienie z dzieciństwa, które budzi w nim smak umoczonej w herbacie „madeleine“, cierpienie dziecka i tęsknota za matczynym pocałunkiem, czy to miłość Swanna i niezapomniana orchidea, monokl obserwowany na balu i zdrady Odette, czy to Pola Elizejskie i spotkanie małego Proust'a z Gilberte, lasek Bouloński i kwitnące tarniny w Combrais, czy miłość do Albertine, i jej utrata, wspomnienia z Wenecji, salony wielkiego świata, śmierć Bergotte i z niczem nieporównane zmartwychwstanie wspomnień morskiej plaży i zieleni fal przy rozkładaniu krochmalonej serwetki, takiej jak wówczas, tam w hotelu Balbec—wszystko to żyje, fascynuje czytelnika.

Sam autor pozostaje na boku, niema w nim cienia żadnej tendencji, żadnych z góry powziętych zasad. Jest artysta i widz, dlatego dzieło jego jest czystem pięknem, dlatego działa głęboko moralnie, pomimo p. Charlus'a i całej drastyczności niektórych scen.

Schorowany od wczesnej młodości, nie znoszący ani światła, ani zieleni, ani hałasu ulicy, ani zapachu kwiatów, umiał jednak do głębi ocenić to wszystko, czego jego słabe ciało nie umiało znosić. Ostatnie lata spędził prawie stale w Paryżu w pokoju wyłożonym korkiem dla izolacji od życia stolicy, w powietrzu przesyconem dymami fumigatorów, ogrzewany sztucznie, jak nieopierzone pisklę drżący—nad stosem swoich notatek, nad niezliczonym mnóstwem arkuszy zapisanych szczelnie drobno, nerwowym pismem. Żył i pisał przeważnie nocą, przy sztucznym świetle nawet za dnia, zapraszał przyjaciół na 11-tą godzinę wieczór, odwiedzał ich nagle w ciągu nocy, żeby się upewnić co do jakiegoś napozór nic nieznaczącego szczegółu, akcentu cudzoziemskiego słowa, kształtu lub barwy dawno przez samą właścicielkę zapomnianej sukni, kwiatu, kapelusza. I uzyskawszy o comu chodziło, zniknął tak nagle jak przychodził, unosząc z sobą

tajemnicę swych niematerialnie patrzących oczu, lub zostawał do świtu, wdając się w nieskończoną analizę tego lub innego wypadku, cieniując swe spostrzeżenia, aż do granic możliwości, i przechodząc następnie ciężko taką noc spędzoną na rozmowie.

Zdawał sobie sprawę z misji, która na nim ciążyła, wiedział, że ma dokonać wielkiego dzieła, jemu poświęcił życie światowe, które mu dawało tyle szczególnych rozkoszy, towarzyskie zebrania przyjaciół, w końcu nawet pożywienie, w nadziei, że to mu choć trochę przedłuży życie.

W ciągu ostatniej nocy dyktował jeszcze swoje wrażenia, mające być włączone do opisu śmierci Bergotte'a, a na papierku splamionym lekarstwem, odnaleziono nieczytelnie skreślone słowa, w których można było odczytać nazwisko Forcheville'a, drugorzędnej postaci w jego książkach.

Pozostał wierny aż w konaniu temu co wciełało dlań sens jego żywota, co stanowiło łącznik z wiecznością, co przetrwało śmierć.

Umarł w listopadzie 1925 r. licząc lat 51.

Pochowano go, ale przez całą noc żałobną, w oświetlonych witrynach książki jego ułożone rzędami po trzy, czuwały jak aniołowie o rozpostartych skrzydłach i zdawały się być dla tego którego nie stało, symbolem zmartwychwstania!

(M. Proust. „La prisonnière t. I, str. 256.

Marja Czapska

Stanisław Piołun-Noyszewski

Stefan Żeromski, *Dom, dzieciństwo i młodość*. Warszawa, wyd. J. Mortkowicza, 1928, str. 4 nl. i 3 4 i 6 ul.

Biografia Żeromskiego doprowadzona została do daty wydania „Ludzi Bezdomnych“, to jest do roku 1899. Plan swój autor motywuje tem, że dalsze losy Żeromskiego znane są już bliżej krytyce i wobec tego nie wymagają specjalnego biograficznego komentarza. Książka, acz obfitująca w nieznaną częstokroć materjały (korespondencja Żeromskiego), nie czyni zadość zasadniczemu warunkowi: nie jest dramatyczna. Przeznaczeniem bowiem biografji jest uczynić z postaci pisarza — bohatera romansu bardziej ludzkiego aniżeli jakakolwiek bądź powieść, dramat, czy poemat tegoż pisarza. Żeromski pana Noyszewskiego jest człowiekiem bardzo szlachetnym, ale nie przekonywującym, — należałoby szlachetność raczej pokazać, aniżeli o niej mówić. Jest to przecież zasadniczym postulatem wszelkiej twórczości.

Książka napisana lekko, z ogromną znajomością stosunków rodzinnych i towarzyskich, w których się Żeromski obracał. Zasługą autora jest, że próbował objaśniać genezę tematów niektórych utworów Żeromskiego. Może się to potem przyda jakimś teoretykowi literatury, badającemu stosunek pisarza do rzeczywistości (zagadnienie partenogenetyczności pomysłów).

Swoją łatwo czytelną książkę niepotrzebnie obciążył p. Noyszewski erudycyjnym balastem ge-

neologicznych wywodów. Zbyt łatwo się w tem można doszukać wpływów teorii Taine'a o kształtowaniu się indywidualności, ale czy potę aby charakteryzować tradycję otoczenia młodego Żeromskiego, trzeba było sięgać aż do początków XIII stulecia? Starczyłoby przecież rozpoczęcie genealogii od pradziadów pisarza.

Ciekawe są listy Żeromskiego, stanowiące prawie trzecią część książki, uczuciowo ogromnie proste i doskonale „napisane“.

H. D.

NA MARGINESIE

LUCJA—PRZEDEWSZYSTKIEM.

Dowiadujemy się, iż na rok 1927/28 otrzymała Opera Warszawska zasiłek rządowy w wysokości 600 tysięcy złotych. Podobno miasto stołeczne powinno mieć operę, to jest teatr o typie reprezentacyjnym, dostępny i zrozumiały dla cudzoziemców. Inna rzecz, czy teatr tego rodzaju jak opera warszawska prócz towarzyskich, spełnia jeszcze jakoweś głębsze zadania artystyczne. W związku z udzieleniem subwencji dowiadujemy się iż opera warszawska uraczy stolicę niebawem niebywałą premierą—Lucji z Lamermooru.

Jakże dziwnie na tle tej rozrzutności w stosunku do instytucji artystyczno-towarzystwej wyglądają budżety rządowe w dziedzinie literatury! Wydaje setki tysięcy, miasto wydaje miliony na wznowienia—premjery Lucji z Lamermooru, Lakme, czy Lohengrina, podczas gdy wielcy pisarze, jak ostatnio Przybyszewski, umierają z nędzy. Jakże na tem tle szczodrości w stosunku do opery wygląda sprawa stypendjów literackich przy Departamencie Kultury i Sztuki.

Pomyśleć, że za jedną Lucję z Lamermooru ograna przez wszystkie kataryny i arystony mogliśmy wysłać zagranicę conajmniej pięciu pisarzy na poważne studia, innym zaś pięciu mogliśmy zapewnić parę lat wielkiej, twórczej pracy.

NIEPOROZUMIENIE.

Nowy Dwutygodnik poświęcony „sprawom sztuki i kultury“ zaczął wychodzić w połowie grudnia ubiegłego roku pod redakcją p. Zygmunta Witkowskiego i przyznać trzeba, że chyba wszystkich ludzi odnoszących się poważnie do spraw sztuki i kultury w związku z człowiekiem pracy—niepomniernie zadziwił. Dwutygodnik ten wydawany w Warszawie na porządnym papierze prócz popularnych artykułów Artura Górskiego i Z. Witkowskiego, przeplatanych sentencjami Mickiewicza przynosi źródłowe, rozwlekłe sprawozdania z repertuaru teatrów warszawskich, streszczenia oper, głosy kierowników teatrów, dokładne streszczenie Lohengrina, nieskończony szereg straszliwego banału aktorsko-fotograficznego, list jakiegoś wielbiiciela p. Malickiej, cały afisz osób występujących

w Dziadach, streszczenie Dziadów „własnymi słowami“ i t. p.

Jeżeli chodzi o szerzenie kabotyństwa, teatromanji, zdawkowości widowiskowej z pominięciem wszystkiego, co składa się na powagę zagadnień pracy i kultury pismo wydaje się nam bardzo bliskie niezamierzanego chyba przez redakcję programu.

CO Z BIULETYNEM?

Miesięcznik Uniwersalny Antena Polska pod red. A. Kaszyna nie pozostawia nic do życzenia ani pod względem radiowych wiadomości, ani krajoznawczo-ilustracyjnych. Widzielibyśmy chętniej więcej jasności i dobrej popularyzacji w zakresie muzyki, oraz więcej metody i aktualnego ujęcia rzeczy w dziale literackim. W związku z literaturą przypominamy jeszcze raz z tego miejsca sprawę biuletynu literackiego, którego ułożenia podjąć się miały razem literackie związki warszawskie. Sprawa ta niezmiernie ważna ze względu na propagandę książki utknęła zdaje się na martwym punkcie. Czy związki nie mogą się między sobą pogodzić nawet w prostej a ważnej kwestji?

DOBRE ŻYCIE!

Dwa tygodniki stołeczne „Świat“ i „Tygodnik Ilustrowany“ nie odstępają od godziwej tradycji podawania czytelnikom dobrej literatury w odcinu powieściowym. Rok obecny zaczyna Tygodnik Ilustrowany wielką powieścią Sieroszewskiego o Twardowskim, Świat powieścią Zofji Nałkowskiej p. t. Niedobra Miłość. W ostatnich numerach Świata pojawiają się pamiętniki Przybyszewskiego. Jeden z ostatnich listów autora Homo Sapiens (o 200 złotych zaliczki) drukowany w „Świecie“ napęlnia zgrozą i żalem nawet tych którzy obeznani są z przysłowiową nędzą pisarzy polskich. Warto zestawzić pamiętniki Przybyszewskiego z książką S. P. Noyszewskiego o Stefanie Żeromskim. Z zestawienia tego okazałoby się, że dwaj najwięksi pisarze polscy przez znaczną część swego życia—umierali z głodu. xv

Echa Literackie.

Jeszcze jedna nagroda literacka. Grand Prix Towarzystwa Literatów (Société des gens de Lettres) zostało przyznane p. Lucas-Dubreton za całość jego twórczości, między innymi dziełami, za historyczną monografię o Karolu X. Nagroda ta odznacza nie tylko twórczość zasłużonego pisarza, ale także pewien rodzaj literacki coraz popularniejszy, rodzaj „małej historii“ w przeciwstawieniu do wielkiej, synoptycznej i syntetycznej. Te drobne „podpatrzenia“ człowieka, który tworzył historję lub na jej falach zdają się współczesnym bardziej prawdziwe i przekonujące niż tamte wielkie horyzonty. Z mozaik takich „małych historii“ stworzy się z czasem w umyśle czytelników obraz całości samodzielnie złożony.

*

I jeszcze jednak...

Nagroda poety Jean-Moréas'a, w sumie 5 tys. fr. ustanowiona w 1910 r. (data śmierci pisarza) została przyznana w ostatnich dniach p. Guy-Charles Cros synowi wynalazcy fonografu za 3 tomy jego poezji.

*

Jacques Maritain jeden z czołowych przedstawicieli obozu pisarzy katolickich wydał obecnie książkę zatytułowaną: „Quelques Pages sur Léon Bloy, którego gorąca wiara skierowała przed laty jego dawnego anarchiście, w progi Kościoła Katolickiego.

*

W Madrycie została otwarta wystawa Książki Francuskiej, która eksponuje około 2 tys. tomów, przeważnie dzieł artystycznych, tyjących się po większej części architektury. Obejmuje ona kilka tylko dzieł literackich luksusowo ilustrowanych.

*

Program „Revue Hebdomadaire“ na 1928 rok obejmuje pierwszą sztukę dramatyczną młodego pisarza Henry de Montherlant'a: „L'Exil“, powieść François Mauriac'a i kilka cennych biografii: Lorda Byrona opracowaną przez znawcę literatury angielskiej André Maurois. E. Drumont'a przez pisarza katolickiego G. Bernanos'a i świetny życiorys „tygrysa“—Clémenceau, przez Emila Ludwiga, bezstronnego biografę Wilhelma II.

*

P. F. Corcos wpadł na szczęśliwy pomysł wydając „Katechizm“ francuskich partij politycznych (Catéchisme des Partis Politiques). Książka obejmuje całość od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy, pisana obiektywnie i bezpartyjnie, maluje wyczerpująco i przejrzyście stanowisko każdej partji oraz jej stosunek do spraw społecznych i politycznych.

*

Do wielkiego konkursu na budowę gmachu Ligi Narodów, który ma stanąć nad brzegiem Lemanu, przystąpili artyści z całego świata; nadesłano 370 projektów (pewien sekretarz angielski obliczył, że projekty te ułożone rzędem, zajęłyby 14 kilometrów!) Zwycięstwo odniósł architekt francuski, członek Institut de France, p. Nénot. Projekt jego odznacza się prostotą linii cechującą budowlę nowożytną z odwołaniem się do klasycznego stylu greckiego przez kolumnadę zajmującą cały front pałacu. Gmach, według obliczeń p. Nénot, ma stanąć w ciągu 3 lat.

*

Charles Lindbergh, który w tak piorunujący sposób zdobył sobie sławę wszechświatową i miłość tak starego jak i nowego świata — wydał ostatnio książkę u Flammarion'a p. t. „Mon Avion et moi“. Powodzenie tych napowietrznych pamiętników jest z góry zapewnione.

*

Pacyfizm Niemców zatacza coraz szersze kręgi. Jedną z gwiazd Music-Hall'ów paryskich p. Rahna, występuje obecnie w Berlinie. Reżyser oznajmia każdorazowo jej występy w te słowa: „Chcielibyśmy i my przyłożyć swój kamień do budowy, którą wznoszą Stresemann i Briand, dlatego zaprosiliśmy p. Rahna, która będzie nam śpiewała, grała i tańczyła... po francusku i po niemiecku“.

Burzą oklasków odpowiadają Berlińczycy na tę pacyfistyczną przemowę.

*

Pewien wydawca uprosił młodszych pisarzy o artykuły charakteryzujące tych, którzy już zasiedli pod kopułą Akademii Francuskiej. Tak więc popularny Pierre Benoît powie nam swoje zdanie o Henry Bordeaux, Francis Carco, obserwator mętów życia paryskiego—o Paul Bourget, lubującym się w fabułach salonowych, pisarz katolicki François Mauriac o René Bazin, utalentowany A. Mauvois—o Marszałku Lyauvey.

ODPOWIEDZI GŁOSU LITERACKIEGO.

W. G. Pabjanice: Pisze Pan: Nie lepią garnków święci ministrem możesz zostać, kiedy cię teka nęci, nie lepią garnków święci. Masz trochę dobrych chęci i przytem gładką postać, nie lepią garnków święci, ministrem możesz zostać. Po przeczytaniu tego wiersza doszliśmy do przekonania, że tylko święci garnki lepią, że nigdy Pan ministrem nie zostanie. Radzimy jaknajśpieszniej porzucić pióro.

Zb. Cz. Wiersze nader słabe. Owe oddale, handry, lepsze światy i t. p.—wszystko to dowodzi, że nie rozumie Pan świata otaczającego, jego uroków, piękności i rzeczywistej powagi.

W. B. Poznań: Jakto więc nie widział Pan, przeoczył Pan swój własny wiersz, drukowany w noworocznym dodatku literackim naszego pisma? Inna rzecz, że radzimy Panu przestać zajmować się sprawami „oderwanymi“. Chcielibyśmy ukonkretnić natchnienie pańskie, obawiamy się dla Pana manjery. Mistyka prawdopodobnie pójdzie.

I. Wa—ski, Łódź: Pomysł banalny, utwór napisany bardzo słabo. Mamy wrażenie że z „tej maki chleba nie będzie“. Nawet buła, gneciuch, nawet zakalec nie da się z tego wyrobić. Odpowiadamy Panu szczerze, tak, jak Pan tego chciał.

As. W—wa: Wiersz bez żadnej wartości. Nie może być smrodliwych aromatów, tylko wonne, skoro już aromaty. Mech zawsze jest puszysty, jako mech. Słońce zawsze jest kuliste, nie widzieliśmy słońca w kształcie ogórka. Słowem, wszystkie pańskie przymiotniki, określenia są bez istotnej wartości.

Jan Gł. W—wa: Wiersz wyjątkowo lichy. Nie warto omawiać.

Buty. Jest to widocznie nowela, pozostała po konkursie, Wiadomości Literackich, na temat „buty“. Nowel tych błąkało się bardzo wiele przez kilka miesięcy na łamach rozmaitych pism, po stolach i koszach redakcyjnych. Pańskie „buty“ są niestety źle uszyte. Wybija Pan swój temat tak widocznie od samego początku, że rzecz sprawia wrażenie wymuszonej na nakazany temat pisanej.

Dr. Stan. Par. Częstochowa. Artykuł o Węgrzech autora o którego Pan zapytuje drukowany był dwa lata temu w Tygodniku Ilustrowanym w numerze specjalnie Węgrom poświęconym.

Stan. M W—wa. Pańskie opowiadanie zaczyna się lekko i prosto. Pierwsze zdania mają rytm wzruszenia i miłości. Niestety, zaraz dalej zaczyna się symbolika, gadanina rozumowana, nieskładna, niezręczna. Jeżeli Pan chce pisać prozą,—czeka Pana morze, morze pracy.

B. Lwów. Nie może Pan używać rymów tak całkowicie wytartych pospolitych, rymów gorzej niż częstochowskich.

Lina d. Łez—bez—moje—źdroje i t. p. Nie, Protektorze, mowy niema o drukowaniu czegoś podobnego. I wogóle wstyd przysyłać tak liche utwory.

Już czas. Marzenia. Hej, bogowie. Więc wyobraża Pan sobie, że jego słowa są bardziej bujne od—„życia szarzyzny“. Jaki to jest z tą szarzyzną życia? Mamy wrażenie, że mało jest pisarzy dorównujących swą koncepcją t. zw. szarzyźnie życia. Pańskie wiersze są napuszone, zarozumiałe.

Johan H. Nie, nie wydrukuje się, nie można. Po cóż Pan pisze, nie wiedząc o czym chce Pan pisać?

Juljusz P—Śl. Wiersz pójdzie, cierpliwości, drogi kolego. Ale „gazeta“ poszła do kosza, tak słaba. Niech Pan tak nie pisze, do niczego nie prowadzi ta stara, sentymentalna maniera.

A. N. W co pan jest raniony? O jaką walkę chodzi? Z kim? Które to jest to miejsce bolesne? Z jakiej ciemni został Pan trafiony? Tych wszystkich spraw nie można w żaden sposób dowiedzieć się z pańskiego wiersza. Pomijamy już to, że wogóle niewiadomo, o co się te straszne walki rozgrywają!

Ant. M. Lublin. O wiele, o wiele lepiej! Wydrukujemy dwa z nadesłanych wierszy. Mamy co do nich pewne zastrzeżenia, ale trudno. Można śmiało drukować. Gdyby Pan chciał przerobić ów oszet, drugą zwrotkę. Ten „znicz“ wychodzi z tła tak niepotrzebnie. Ale jest postęp, cieszymy się szczerze.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

(Nadesłane do Redakcji).

Emil Zegadłowicz W obliczu gór i kulis. Poznań 1927. Nakł. Fiszera i Majewskiego. Książka ta stanowi dziewiątą, a napewno już ostatnią pozycję bibliograficzną w dorobku Zegadłowicza za ubiegły 1927 rok. Płodny i z jakimś gorączkowym pośpiechem pracujący poeta dał w nim właściwie autobiografię swoją i dlatego tom ten, zawierający kilka poetyckich i kilka okolicznościowych utworów będzie kiedyś niezwykle historyków, badających życie i twórczość pisarza. Szczególnie dużą wartość z tego właśnie punktu widzenia mają „listy do przyjaciół“ z cyklu „W obliczu gór i kulis“, następnie odczyty „O kształtowaniu się idei“, o „polskim Fauście i polskim teatrze“ i „O Legionie Czartakowskim“. Utwory: jak przemówienia ku czci Orkana, „Czyn Wyspiańskiego“ i zupełnie ostatni akord: „Na stopniach Góry“ — przemówienie wygłoszone na pożegnanie odchodzącego w zaświaty Przybyszewskiego, nadaje książce piękno zupełnie aktualne. Książkę tę można do pewnego stopnia uważać za rachunek sumienia poety, złożony społeczeństwu z okazji zbliżającej się dwudziestej rocznicy ukazania się w 1908 r. pierwszego jego tomu poezji.

Tadeusz Zieliński: Hellehizm a judaizm. Warszawa 1927. Nakł. Towarzystwa Wydawniczego. Ukazał się tom II rewelacyjnego dzieła prof. Zielińskiego, któremu z okazji wydanego przed kilkoma miesiącami tomu I poświęciliśmy na łamach naszego pisma dłuższe omówienie pióra d-ra T. Makowieckiego. Zawiera on prócz dalszych rozdziałów rozprawy „Tora“, „Jehowa i narody“, „Filon Judejczyk“ i „Zakończenie“) bardzo cenne przypisy oraz skorowidze do obu tomów.

Stanisław Jachowicz: Wiersze i Bajki—zebrała S. Posadzowa, zilustrowała Zofja Stanisławska. Poznań 1927. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Jakże godną prawdziwego uznania była inicjatywa szczególnie zasłużonej na polu oświaty narodowej księgarni św. Wojciecha wydania tych bezpretensjonalnych rymów, którym w bezgrzesznych latach naszego dzieciństwa zawdzięczamy tyle wrażeń. Rozrzucone po czasopiśmie i dawno już wyczerpanych wydawnictwach te wierszyki powoli ulegały zapomnieniu. Obecnie starannie zebrane i ułożone przez p. Posadzką wejść niewątpliwie do naszych repertuarów dzieciennych zarówno domowych jak i szkolnych. Przeszło trzy setki wierszyków ujętych w trzy główne działy wierszy religijnych, obyczajowo-moralnych i przyrodniczych zostały ponadto podzielone w cykle: „dobre dzieci“, „posłuszeństwo“, „łakomstwo i wstrzemięźliwość“, „dobre serca dla zwierząt“, „dobre serca dla ludzi“, „zgoda w rodzinie“, „sumiennosc i prawość“, „zwierzęta“ i „rośliny“. Już z tego wyszczególnienia tytułów poszczególnych działów widzimy, jak rozległy jest zakres zagadnień podsunętych tu w najbardziej prosty sposób wrażliwej psychice dziecięcej.

Wacław Gąsiorowski (Wiesław Slavus). Królobójcy Warszawa 1927. Nakł. Domu Książki Polskiej. Jest to mroząca krew w żyłach opowieść o królobójstwie jako systemie walki o tron i władze w carskiej Rosji. Gorszące intrygi i walki o koronę w Rosji, Gorszące intrygi i walki o koronę w Rosji wytworzyły tam od czasów Iwana Groźnego niejako zasadę królobójstwa, której ofiarą padali prawie wszyscy monarchowie rosyjscy aż po nasze czasy. Wytrawne pióro autora „Huraganu“ potrafiło z tego tragicznego problemu wysnuć dzieło o dużych zaletach narracyjnych i emocjonalnych. To też Królobójcy należą do jego popularniejszych książek. Napisana na 10 lat przed wojną, tłumaczona była na kilka języków świata, nie wyłączając rosyjskiego. W polskim doczekała się trzech wydań i znana była powszechnie w zaborze rosyjskim, mimo jej prześladowania przez władze. Obecne—czwarte wydanie „Królobójców“ zostało przez autora uzupełnione obszernym rozdziałem, obejmującym ostatni okres dziejów Rosji do rządów bolszewickich.

Leonardo da Vinci Bajki. (Favole). Zebrał i przelożył Leopold Staff. Warszawa 1928. Nakł. Towarzystwa Wydawniczego. Wśród książek gwiazdkowych, jakie ukazały się w bieżącym sezonie wydawniczym wysuwają się na czoło „Bajki“ Leonarda da Vinci. Nie są to jednak dla dzieci przeznaczone wierszyki, a głęboką sentencję zawierające epigramaty, przypowieści i baśnie. Zdobną je piękne plansze ze „studjami“ i szkicami ołówkowymi Leonarda da Vinci. Mistrzowski przekład Staffa, jak również piękna szata zewnętrzna książki zapewni jej należną wziętość.

P.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „OSTOJA“, Tamka 37

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem

akc. 330/610